



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



W ZŁOTYM STOKU

fol. J. Niekrasz.



Badania jeziorne na Kujawach. ³⁾

Co do głębokości jezior chodeckich na razie tylko tyle zaznaczę: obydwie badane jeziora mają strome brzegi podwodne i blisko brzegu mierzymy już 8—10 m. głębokości, ale dna ich są bardzo równe i prawie poziome. Natomiast co do formy dna jeziora te różnią się trochę między sobą: Kromszewickie ma w środku podłużny rów, podobny do doliny, dochodzący maksymalnie do 17.0 m. głębokości; dno jeziora chodeckiego składa się z kilku zagłębień bardziej zaokrąglonych, z których północne ma tylko 8 m., południowy „głęboczek” 20.5 maksymalnej głębokości.

W ciągu krótkich moich studyów starałem się też trochę wniknąć w genezę zarówno miseczki jeziornej, jak i krajobrazu całego i wykonałem w towarzystwie pp.: Łopuskiego, Olszakovskiego i Ostaszewskiego dwie wycieczki w okolice północne jezior; chodziło o związanie form morfologicznych morenowych okolicy jezior z formami dolinnymi Wisły; wycieczkę na południe z powodu słoty odłożyć musiałem na później. O naukowych wynikach tych wycieczek zdam dopiero sprawę po ich uzupełnieniu, ale już na tem miejscu chciałbym serdecznie podziękować panom, którzy mi je ułatwili: p. Krapieńskiemu w Woli Adamowej, p. Olszakovskiemu we Włocławku i p. Byszewskiemu w Szczytnie.

Drugim zadaniem badającego jeziora jest zapoznanie się z ich stosunkami termicznymi: inne są ciepłoty wody na brzegu a w środku, inne na powierzchni a w różnych głębokościach. Na powierzchni mierzy się ciepłotę bezpośrednio termometrem, od którego wymaga się tylko, by był podzielony w skali Celsjusza przynajmniej na 0.1° i był od czasu do czasu sprawdzany. Temperatury w głębokości mierzy się w dwojaki sposób: jeżeli chodzi o bardzo znaczne głębokości, to zapuszczamy termometr specjalny ¹⁾, który przybiera temperaturę panującą tam w pewnej głębokości, a potem dzięki pewnemu mechanicznemu przyrządowi już przy wyciąganiu więcej zmianom nie podlega. Instrument ten jest kosztowny i wymaga wielkiej uwagi przy używaniu. Przy mniejszych głębokościach (do 30 m. — zatem w większej ilości wypadków w jeziorach niżowych) można stosować sposób prostszy. Zamiast mierzyć temperaturę pod wodą w pewnej głębokości wyciąga się wodę z tej głębokości i mierzy się dopiero w łódce. Do wyciągania wody z głębokości 30 m. używamy flaszki Meyera, nadzwyczaj prostej. Silna, ołowiem u spodu (b w rysunku 4) przyciążona flaszka, jest związana na trzech



Rys. 4.

linkach, przyczepionych do siatki, w której siedzi flaszka i związanych w kółku (c). W tem samym miejscu przymocowany jest na krótszej trochę linie (e) korek flaszki (d). Przed spuszczeniem flaszki zatykamy ją korkiem, spuszczaamy zamkniętą na linie (e) zawieszoną do żądanej głębokości, nagle i silnie ale krótko za linkę podrywamy, korek wyskakuje, flaszka spada odrobinę i wisi na trzech tamtych linkach. Woda wciska się do flaszki, bąbki powietrza podnoszą się, pękając aż na powierzchni jeziora i zdradzając nam, że flaszka się otworzyła i później, że się całkiem napeniła. Potem wyciągamy szybko flaszkę i zapuszczając termometr do niej, a trzymając flaszkę w cieniu, jak najszybciej odczytujemy ciepłotę wody: rozumie się, że termometr musi być bardzo wrażliwy.

Zadania termiczne w jeziorze są trojaki: 1) Stwierdzić rozmieszczenie ciepłoty w całym stawie w jednej i tej samej chwili, więc w różnych punktach jeziora (w środku, w pobliżu wybrzeża, blisko dopływu, blisko odpływu): w jeziorach chodeckich w ten sposób zmierzyłem 4 punkty od powierzchni do dna. 2) Stwierdzić wahania dzienne w jednym i tem samym miejscu, mierząc tu co 2 lub 4 godziny na przeciąg całej doby; zbadałem wahania dzienne w jednym punkcie jeziora chodeckiego, mierząc co 4 godziny; było ono, ma się na wiosnę bardzo małe, ale w lecie mogące sięgnąć kilku stopni; dlatego byłoby pożądanym zmierzyć wahania dzienne temperatury w roku. 3) Stwierdzić wahania roczne w kilku miejscach. Te zadania, terminowych, powtórzonych na tem samym miejscu (co tydzień, 2 tygodnie lub 1 miesiąc, to od możliwości), pomiarów termicznych, opisał w swojej książce wikary Franciszek Łapski w Chodczu podjął się w wykonaniu tego zadania powtarzania tych pomiarów w jeziorze Chodeckim co dwa tygodnie w przeciągu całego roku. Ten pomiar, który dla spraw krajowych zasługuje na wysokie uznanie i jest bardzo cennym dla nauki ogólnej, albowiem dotychczas w żadnym z nielicznych jezior na świecie, z żadnym

¹⁾ Negretti — Zambra albo Richtera.

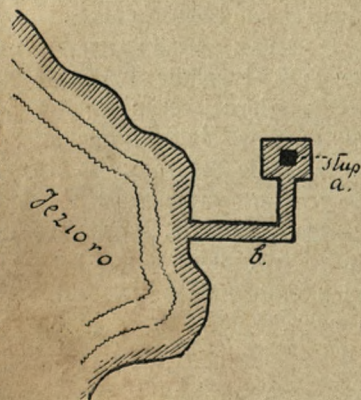


Rys. 5.

go, posiadamy dotychczas całoroczny szereg temperatur.

Dla opracowania i wyjaśnienia szeregu temperatur jeziornych jest niezbędna dokładna znajomość stosunków klimatycznych: bez stałych spostrzeżeń położonej w pobliżu stacji meteorologicznej wszelkie badania nad rocznymi wahaniami fizycznych właściwości pewnego jeziora stają się bezprzedmiotowe, nie dają się bowiem tłómaczyć. Tem bardziej cenić musimy i z wdzięcznością popierać zamiar p. Eugeniusza Ostaszewskiego, aptekarza w Chodczu, utworzenia stacji meteorologicznej; nie wątpimy, że pierwotny zamiar robienia tylko pomiarów opadowych rozszerzy p. Ostaszewski w ten sposób, że będzie robił trzy razy dziennie pomiary ciepłoty, stanu barometrycznego, zachmurzenia, kierunku i siły wiatrów i ilości opadów. Dane tej nowej stacji meteorologicznej nie tylko nam służyć będą do interpretacji stosunków termicznych w jeziorze, ale także do tłómaczenia zjawisk hydrograficznych, które się również będzie badało.

Do najważniejszych zjawisk hydrograficznych należą pionowe wahania poziomu wody jeziornej, wodostanów. Takie wodostany muszą być obserwowane przez cały rok; obserwacje te wymagają dużo konsekwencji i skrupulatności, choć są łatwe do wykonania i polegają tylko na codziennem odczytaniu poziomu wody na wodowskazie. Wodowskaz jest to słup, najlepiej czworokątny, z drzewa trudnego, jak go w wodzie (dąb); na jednej stronie tego słupa, dobrze oglądzonej, umieszcza się podziałkę centymetrową. Dla utrwalenia można kreski podziałki wpilować w drzewo i dla łatwiejszego odczytania pola międzyległe posmarować dwoma jaskrawymi kolorami olejnymi (oba rys. 5). Ten słup należy wbić na wybrzeżu jak głęboko, ażeby po pierwsze, stał całorocznie ususzony przez cały rok, nie chwiał się i nie wchodził się ani o odrobinę, a po drugie, aby zero podziałki było niżej od najniższego poziomu wody w ciągu roku. Słupa tego nie należy wbijać koło wybrzeża w same jezioro, albowiem tam



Rys. 6.

ciągle falowanie wody utrudnia dokładne odczytanie poziomu wody. Natomiast należy, jak to przedwiałem na rys. 6, wbić słup jeszcze na lądzie, wykopawszy dokoła niego głęboki dół (a) i połączyć ów dół z jeziorem zapomocą kanału tamowego (b) pod prostym kątem.

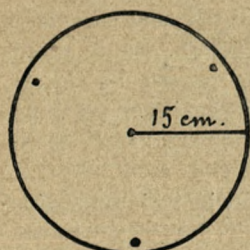
Pierwotnie chciałem ustawić taki wodowskaz nad jeziorem chodeckim; ale dowiedziawszy się, że zamykanie i otwieranie śluz w młynie pod Zamczkiem (Ruda Lubieniecka, 3 klm. poniżej Chodcza) wpływa także na stan wody w jeziorze chodeckim, zrezygnowałem z tego zamiaru i ustawiłem wodowskaz nad jeziorem Kromszewickim: w właścicielu dóbr Kromszewickich, p. Otto, znalazł się ochotnik-krajoznawca, który podjął się przeprowadzenia, względnie czuwania nad przeprowadzeniem codziennych obserwacji wodostanów w jeziorze Kromszewickim, za co mu na tem miejscu z góry składam serdeczne podziękowanie. Dane klimatologiczne, dostarczone mi przez stację meteorologiczną p. Ostaszewskiego, będą później służyły do wyświeślenia związku między wahaniami tegoż wodostanu i stosunkami opadowymi, termicznymi i parowania w ciągu roku. Bardzo wskazane byłoby równocześnie codzienne odczytywanie wahaniami poziomu wody zaskórnej w pobliskiej studni.

Inną ciekawą właściwością fizyczną jezior, to ich zabarwienie: nie wolno się ludzić i nazywać barwą wody tych licznych refleksów, blasków, tęczy i t. d. odbijających się w falach wody, odzwierciedlanych przez nie promieni słonecznych, barw nieba, chmur, ciemnych lasów i t. d. Barwę właściwą wody poznac możemy tylko, jeżeli patrzymy się na wodę zapomocą rury czarnej, którą jednym końcem wsuwamy do wody, podczas gdy do drugiego bezpośrednio przykładamy oko; w ten sposób usuwać możemy od oka wpływ wszelkich odbłasków i zwierciadlenia. Ja używam zwykle rury lejkowatej ze 60 cm. długiej, rozchodzącej się u dołu, jak widoczne jest na rysunku 7: rura ta musi być czarno pomalowana (wewnątrz); w punkcie (a) przykładamy oko, koniec (b) wsuwa się do wody. Dla ściślejszego



Rys. 7.

określenia barwy wody posługujemy się skalą barw Forela-Ulego; jest to system rurek, napełnionych płynem mieszanym z dwóch kolorów (niebieskiego i żółtego) w różnym stopniu. Skala, której ja używam, ma 21 stopni kolorów między barwą niebieską (1) i brunatną (21). Nasze stawy chodeckie mają według tej skali stopień 15, w jaskrawem słońcu 14, to znaczy są jasno-zielonawo-żółte. Ze stawów tatrzańskich zbliżają się najbardziej do nich „bru-



Rys. 8.

O wiele więcej ulega rocznym wahaniom przezroczystości wody. Znów mamy obok bardzo skomplikowanych i kosztownych metod badania przezroczystości wód sposoby skromne i proste, za pomocą których otrzymujemy również dane pożyteczne, choć nie bezwzględne, pozwalające na wyciągnięcie ogólnych wniosków. Dla zbadania przezroczystości wód polskich proponuję jednolite używanie szyby białej Secchiego o rozmiarach 15 cm. promienia. Jest to silna, gruba blacha, wycięta w formie kąta o promieniu 15 cm., a przedziurawiona w czterech miejscach (ob. rys. 8); przez środkową dziurkę przechodzi linka, na której zawieszony jest ciężarek (ob. rys. 9a), przez inne dziurki przechodzą 3 linki związane u góry (c), za pomocą których utrzymuje się krążek blaszany (b) w położeniu poziomym, zarówno podczas puszczenia do wody, jak i podczas wyciągania. Krążek Secchiego musi być jaskrawo-biało barwą olejną lub lakiem z obydwu stron pomalowany.

Przezroczystość wody oznacza się głębokością w metrach, w której krążek biały, spuszczonego do wody, znika z oczu, względnie, w której krążek podniesiony z wody ukazuje się. Jeżeli te dwie liczby między sobą się różnią, bierze się średnią z obydwóch. W jeziorach chodeckich przezroczystość wód, oznaczona w sposób powyższy, wynosiła

1.8 do 1.9 m., nie jest więc większa, niż przezroczystość najbardziej zanieczyszczonych stawów tatrzańskich (Gruszczyński i Toporowy 1.9—2.2 m), podczas gdy czystsze wody tatrzańskie mają przezroczystość 10 do 19 m. Przezroczystość wody w różnych miejscach jezior chodeckich jest prawie jednakowa.

Przezroczystość wody z reguły ulega znacznym wahaniom rocznym; śledzenie tego zjawiska umożliwią dwutygodniowe pomiary przezroczystości, które ks. Połapski wykona w związku z pomiarami termicznymi. Te wahania zależą głównie od dwóch czynników: 1) od ilości mułu, zawieszzonego w wodzie: ta ilość po deszczach ulewnych, po roztopach śniegów i t. d. jest większa, w czasie posuchy w lecie mniejsza, niż średnia. Dla stwierdzenia tych stosunków zjednałem sobie pomoc p. Ostaszewskiego także w tym kierunku, że co 2 tygodnie wykonane będzie filtrowanie wody jeziornej celem oznaczenia ilości zawiesziny, materiałów stałych, znajdujących się w wodzie. 2) Wahania przezroczystości stoją również w bezpośrednim związku z rozwojem życia organicznego w wodzie, przedewszystkiem drobnoustrojów, t. zw. planktonu. Już z tego względu badania planktonu należą do ważnych zadań limnologicznych.

(DN)

Dr. Ludomir Sawicki.



Rys. 9.



PRZEZ WYŻYNĘ MAŁOPOLSKĄ. 4)

Dziennik wycieczki.

Przechodzę wyniosłość działu wodnego i puszczać się wąwozem do doliny Sąspowskiej; tu około Jamiek czyszczę się, usuwając nadmiar błota z odzieży, myję obuwie i ręce w Sąspówce i o dziewiątej wkraczam do cukierni, zdaje się, Kopczyńskiego. Prawdopodobnie wyglądem swym nie wzbudzałem zaufania, gdyż zabrakło dla mnie lodów, kawy, ciastek, a dostałem herbaty jedynie i bułek. Fakt ten znów świadczy o słabym rozwoju turystyki, nawet w takiej miejscowości, jak Ojców.

Po śniadaniu wszedłem na Chełmówkę od strony wąwozu za Bramą Krakowską, poczem puściłem się w dalszą drogę w górę Prądnika. Dziś, kiedy musiałem opuszczać Ojców, pogoda była prześlizczna, błoto wysychało. Po drodze mijałem „wycieczki” dążące żółtym krokiem pod kierunkiem przewodników ... do Grodziska. Tam już zastałem wycieczkowiczów zwiedzających domek—byłe leśniczisko księdza biskupa kieleckiego. W dalszym gu dziadek kościelny zaprowadził nas do



ki, gdzie pokazał równoległobok z tufów, nazywając go łożem kamiennem świętej Salomei.

W Pieskowej Skale kazano mi zapłacić za wejście do zamku cenę 3 razy większą od wymienionej na bilecie; zastosowałem się do tego rozkazu, choć postanowiłem o tem nadużyciu podać do wiadomości publicznej. Zamek od paru lat jest własnością towarzystwa akcyjnego, które zamierza prowadzić zakład po europejsku i odnawia zamek, chcąc mu nadać wygląd pierwotny; to też zaszły znaczne zmiany na lepsze od czasu, kiedy byłem tu raz ostatni. Ale nie obeszło się bez wandalizmu: jeden z gości zamkowych (o zdrowych zmysłach) zląkł się nagrobka Szafranca, strzelał do niego z rewolweru i uszkodził go w paru miejscach. W zamku istnieje „Muzeum”, — długi wązki pokój, odpowiedni, zdaniem mojem, najzupełniej na skład przyborów stróżowskich. Na ścianach, zdala od jedynego małego okna przymocowane są gabloty, a w nich leżą bezładnie porozrzucane kawałki zwietrzałych skał i skamieniałości w większości wypadków pozbawionych znaczenia naukowego. Oprócz tego mieszczą się tu zabytki historyczne, również niezbyt poważnej wartości. Przewodnik, syn miejscowego stróża, objaśnia modnie ubranym paniom, co to są skamieniałości, jakiś młodzieniec z pośród zwiedzających informuje, że amonity leżące w gablocie żyły w epoce kredowej. Tu już nie wytrzymałem i przerwałem mu twierdzeniem, że amonity leżące w gablotach pochodzą w warstw jurajskich a nie kredowych. Na to ów pan odrzekł mi, że się mylę, bo jego „w uniwersytecie za granicą uczono o tem”. Przekonany takim argumentem zamilkłem, wnoszę jednak, że jest różnica pomiędzy tem, czego kogoś uczono, a czego nauczo.

Rozmyślając nad tem, dlaczego zbiory traktowane są w społeczeństwie cywilizowanym tak po macoszemu, w tej instytucji, gdzie było miejsce na ładną kaplicę, wspaniałą salę koncertową, czytelnię, restaurację i t. p., schodzę obok Skály Sokolej” (maczugi Herkulesa), skały utworzonej przez erozyę, — na dół.

Przy sposobności zwracam uwagę, że obecnie nie oprowadzają po piwnicach zamkowych, pamiętnych z r. 63, pewno dlatego, że założono tam spiżarnię restauracyjną.

Zaraz za zamkiem zaczyna się wieś Sułoszowa, bodaj najwięcej rozciągnięta u nas wieś, długość jej bowiem wynosi 9 wiorst, mieszkańców ma 6.000, a domów pięćset kilkadziesiąt. Sułoszowa podobnie jak i wsie poprzednio wzmiankowane, ciągnie się w dolinie wzdłuż rzeki, w danym wypadku Prądnika.

Godzinę już idę przez wieś, stoki doliny zniżają się coraz bardziej, zapowiadając blizki jej koniec, ale ani Prądnik, ani rozrzucone w wielkiej

ilości skały erozyjne tego przypuszczenia nie potwierdzają. Pozory jednak mylą, gdyż wkrótce stanąłem u źródeł Prądnika. Naprzeciwko apteki, z prawej ściany wąwozu wypływa on z dwóch, dużych szczelin skalnych. W szczelinach pod skałami żyją pstrągi, z czego można wnosić, że Prądnik płynie pod ziemią w kanałach skalnych na dużej stosunkowo przestrzeni. Czystą, zimną wodą źródlaną poi się cała górna połowa Sułoszowy, pozbawiona źródeł.

Łożysko Prądnika ciągnie się dalej w górę, raz i drugi przecina drogę i niknie w lesie obok kościoła; najczęściej jest ono suche, woda spływa niem tylko wiosną, kiedy tworzą się źródła czasowe.

Pożegnawszy Prądnik, który mi od rana towarzyszył, wnoszę się wraz z drogą do górnej części wsi, powtarzam zwykłą wędrówkę celem wyszukania noclegu, a znalazłszy go, zasypiam snem kamiennym w blizkiem sąsiedztwie z kotem, zajęcem i kurczętami.

11 sierpnia.

Dzień dzisiejszy zacząłem od powątpiewania w to, czy Sułoszowa się wogóle kończy gdzie, albowiem przeszło godzinę szedłem, zanim wydostałem się z tej ogromnej wsi. Krajobraz znów się zmienił, znikły bez śladu skały, wąwozy, strumienie i ciemne lasy, a wokoło rozciągała się względnie równa wyżyna pokryta lotnym piaskiem. Wydmy i rzadkie karłowate lasy sosnowe dopełniają pejzażu, nadając mu wygląd Mazowsza. Znajdowałem się na bezwodnej wyniosłości, mającej przeszło 100 km. powierzchni. Brak wody i nieurodzajny grunt czynią ten zakątek kraju bodaj najbiedniejszym. Wsie tutejsze (Kosmołów, Zederman) są siedliskami kretynów i przedstawiają jeden wielki obraz nędzy. Wodę przywożą w beczkach z milowych odległości, szanują ją bardzo i dlatego używają najczęściej w stanie nieświeżym wraz z milionami bakterii, wegetujących w cuchnących beczkach. Tam, gdzie utworzyły się osady gliny ze skał zwietrzałych, urządzone są małe zbiorniki wody deszczowej, której używa się do mycia naczyń, pojenia bydła, a w czasie upałów i ludzie nią nie gardzą.

Z Kosmołowa kieruję się do lasu, ażeby ażeby przyjrzeć się źródłom Baby. Piaszczysta droga z początku wiedzie mnie obok rzadkiego lasu sosnowego, potem zaś zagłębia się w większy las, przechodząc obok niewielkiego pagórka z wapieni jurajskich.

U podnóża stoku, zwróconego do drogi, są szczeliny, a z nich wytryska czysta woda kryniczna. Niezależnie od wody wypływającej ze szczelin, wydobywa się ona wprost z pod piasku w postaci banieczek, co robi wrażenie wrzenia. O kilkadziesiąt kroków w bok sformowało się łożysko, w którym Baba wygląda wcale pokaźnie, tembardziej, że



przyjmuje zaraz dopływ, zaczynający się o kilka-
set metrów dalej bez wyraźnych źródeł.

Istnieje jeszcze jedno źródło Baby, ale nie
mogłem go odnaleźć, gdyż pracujący przy naprawie
drogi robotnicy podejmowali się poinformować
mnie tylko za wysokim wynagrodzeniem. Wzię-
to mnie za poszukiwacza skarbów, bo o ile zrozu-
miałem miny i półśłówka robotników, chodzą tu
słuchy o zakopanych skarbach w którymś ze źró-
deł, czy też przy ujściu dopływu.

Przeszedłem więc dalej ponad rzeką płynącą
przez las w silnych serpentynach. Dalej z południo-
zachodu Baba przyjmuje jeszcze jeden mały do-
pływ i jako czterometrowej szerokości rzeka, okrą-
ża wzgórze, na którym rozłożył się Olelin. Pod pia-
skami, po których płynie Baba, zalega chciwie po-
chlaniająca wodę niebieska glina kajprowa (kurzawka)

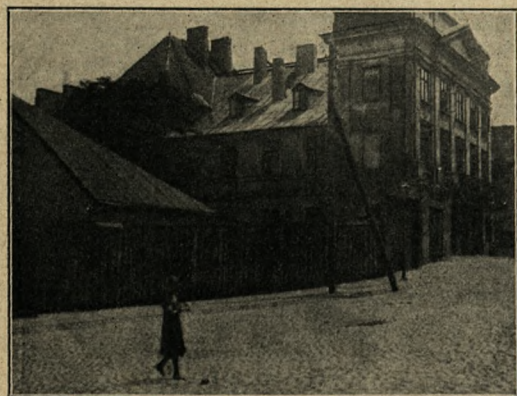
wskutek czego poziom wód gruntowych leży głą-
boko, co łącznie z małą ilością wody, powoduje
zanik rzeki. Z północnej strony Olelina Baba jest
szerokim, płytkim rowem, to znów wązkim strumie-
niem, którego błotniste brzegi pokrywa roślin-
ność właściwa mokradłom. Napotkawszy po dro-
dze wydmy, rzeka dzieli się na dwa ramiona, jedno
z nich wkrótce ginie, a drugie przechodzi pomię-
dzy pasem błotnym kilka metrów szerokim. Dalej
błota znikają, pozostaje tylko półtorametrowej
szerokości łożysko, a w środku niego znajduje się
drugie wyższe, którym płynie Baba, zredukowana
tu do szerokości 40 cm. Ta „rzeka” znów dzieli
się na ramiona, kończące się w niewielkich dołach
To koniec Baby, dalej widoczne jest tylko wyschłe
łożysko.

(CDN)

Stanisław Lencewicz.



Most przy ul. Mostowej w Warszawie.



„PROCHOWNIA“ W WARSZAWIE
(FRONT Z CZASÓW STAN. AUGUSTA
W GŁĘBI. JAKBY KRÓTSZE RAMIE
KRZYŻA, WŁAŚCIWA BASZTA PRZĘDMOSTOWA)

fol. St. Thugutt.

Do najciekawszych okazów Starej Warszawy,
znajdujących się na Wystawie obecnej, w czerwcu
1911 r., należy niewątpliwie duża tablica bronzowa
(długości 174 szerokości 110 cm.), z napisem łaciń-
skim, wydobyta ze składów magistratu i umieszczona
na wschodach, wiodących do głównej sali Ra-
tusza. Rdza wyżarła liter kilka, uszkodzone wyrazy
dają się jednakże odgadnąć, uzupełnić (w nawia-
sach), a więc i przetłumaczyć na język polski,
jako to:

NE PONTEM SUBLICIUM
SUPERBO SUMTU ATQ ARTE ADMIRABILI
A SIGISMUNDO REGE FRATRE IN(c)HO(at)UM

ET A SE POST EIUS MORTEM
CONSIMILI OPERE PERFECTUM
REPENS VICINA SUBURBANORUM
MALE CAUTORUM TECTOR FLAM(ma)
NECOPINANTE MERE UNQUAM CON(ri)PERET
CONREPTUMQ IN FAVILLAM REDIG(er) ET
ANNA JAGELLONIA POLONIE REGINA
MAGNORUM REGUM CONIUX SOROR FILIA
HOC LATERITI PROPUGNACULUM SEPIMEN
TO TUTISSJ]

A FUNDAMENTIS EXCITATO
MUNIENDUM CURAVIT
ANNO CHRISTI DEI NOSTRI MDXXCII
Po polsku zaś:

Aby mostu stałego
zaczętego wspaniałym nakładem i cudną sztuką
przez Zygmunta Augusta Króla B a
a po jego śmierci przez Nią
podobną robotą dokończonego
nie ogarnął kiedyś nagły pożar
od źle strzeżonych w sąsiedztwie domostw przed-
mieszczańskich]
i ogarnionego nie obrócił niespodzianie w erzynę
Anna Jagiellonka, Królowa Polska,
Wielkich Królów małżonka, siostra, córa,
kazala obwarować
to przedmurze najbezpieczniejszem ogrodzeniem
ceglanem]

wyprowadzonym od fundamen talsz
Roku Chrystusa Boga naszego 1582. do 1



Rozczytując się w powyższych lapidarnych wyrazach uważnie, znajdziemy w nich wyjaśnienie wypadków niemałej wagi.

Co znaczy użyta w napisie nazwa mostu: *sublucius*, zapożyczona z opisów starożytnego Rzymu? Pomiędzy 8 mostami, łączącymi brzegi Tybru, był to najstarszy, drewniany, na palach zbudowany. Zygmunt August mógł tylko o takim pomyśleć, gdy nie miał biegłego technika, któryby potrafił murować arkady chociażby o wąskich otworach przez całą szerokość Wisły. Pomysł był chlubny, jeśli nie z technicznego, to z politycznego punktu widzenia: stwierdza zrozumienie i przewidzenie przyszłości miasta Warszawy.

Zrozumiał Zygmunt August, że sejmy walne, które się odbywały dla koroniarzy w Krakowie albo w Piotrkowie, a dla litwinów w Wilnie i Brześciu Litewskim, muszą przenieść się do Warszawy, punktu środkowego, jak tylko upragniona przez niego unia Litwy z Koroną da się urzeczywistnić. Do Warszawy też powołał litwinów i koroniarzy na pierwszy sejm spólny 1563/4 roku. Wówczas atoli okazała się trudność przeprawy przez Wisłę łodziami, albo może po jakimś moście łyżwowym, o którym zresztą nie doszła nas żadna wiadomość. Sprawy nie załatwiono; zachodziła potrzeba ponawiania narad i układów. Wśród różnorodnych zabiegów politycznych i prawnych mądry król zamierzył też udogodnić dostęp do Warszawy. Sprawdził największe dęby i sosny z grodzieńskich lasów swoich, znalazł inżyniera jakiegoś Niemca i kazał rozpocząć budowę w 1568 r. Miało być 15 ostoi; każda miała kosztować 3.000 złotych. Ale rychło taki most stanąć nie mógł; wypadło więc złożyć sejm uniowy w Lublinie 1568/9 r. Gdyby nie ta przeszkoda, wielki akt zjednoczenia dwu państw „w jedno nierozdzielne i nieróżne ciało”, w jedną Rzeczpospolitą byłby dokonany dn. 1 lipca 1569 r. w Warszawie.

Na dowód przytoczymy z pierwszego bezkrólewia, że sejm konwokacyjny, zwołany przez prymasa Uchańskiego na dzień 1 stycznia 1573 r., zebrał się w Warszawie i Warszawę też wyznaczył na miejsce zebrania sejmu elekcyjnego na dzień 5 kwietnia; uchwalił przytem prawo głosowania na elekcyi każdemu szlachcicowi „*viritim*”, pozwalając, „żeby jechał, ktoby chciał”. Należało się spodziewać ogromnych tłumów — a most nie był jeszcze gotów. Zafrasował się przedewszystkiem Zygmunt Wolski, kasztelan czerski, jako piastujący zarazem urząd starosty warszawskiego. „Związał” on części mostu „jako tako”, ale tak przebieg, że przechodzić po nim było można. W liczbie tysięcy przybyłych wyborców znajdował się Stanisław z Borzejowic Orzelski. Nie chciał nam sposobu „związania”, zapewne

belkami spajaniem i podpieraniem „jako tako”, ale o 15 ostojach „wytrzymujących pęd wody”, o belkach spojonych masą żelaztwa, o budowie całej, niemniej wytwornej jak mocnej, pisze z podziwem; temi samemi prawie co Anna Jagiellonka słowami orzeka, że „most ten, z dziwną sztuką i niezmierną pracą wystawiony, był arcydziełem króla Augusta”.¹⁾

Nie wystarczają nam te pochwały do powzięcia dokładnego wyobrażenia. Podobnie z napisu Anny Jagiellonki technicznych informacji nie wyciągniemy, chyba tę tylko, że pokład mostu musiał być bardzo wysoki, jeżeli zaczynał się od przedmurza (*propugnaculum*), to jest od baszty wjazdowej, która z czasem przerobiona była podobno na prochownię, potem na więzienie, a dziś istnieje jeszcze w postaci kamienicy, zamieszkiwanej przez ubogą ludność na rogu ulic Rybaki i Bolesć. Ale dziś do Wisły dosięga tylko ulica Bolesć, nie Mostowa: więc koryto rzeki musiało odsunąć się ku wschodowi i poziom jej obniżyć się odpowiednio do spadzistości obecnie suchej i nieco zaludnionej. Owe „złe strzeżone od ognia domostwa przedmieszczan” musiały stać na ulicach Brzozowej, Rybakach, Bugaju: więc na tej wysokości dopiero, gdzie się kończy dzisiejsza ulica Mostowa, musiał być wjazd i poziom mostu.

Najlepiej pouczyłby nas rysunek współczesny. Posiadamy naprzykład wcale dobry rysunek mostu grodzieńskiego roboty Jana Adelhausera z 1567 r. Jestto most drewniany, stały, na czterech „bykach” i dwu parach pali usadowiony i bramą wjazdową podobnie od strony miasta zabezpieczony; nie miał wszakże poręczy wcale, chociaż przejeżdżali po nim kawalerzyści. (Reprodukcya znajduje się w *Historii Nowożytniej* mojej, tom I, str. 333). Znalazł się też rysunek mostu warszawskiego, tu reprodukowany, ale z Brauna tomu 6-go, który był wydany w 1618 r.²⁾, więc niema pewności,

1). *Bezkrólewie* I, 39, w tłumaczeniu Spasowicza. W oryginale ten ustęp brzmi: *Porro pons ille admirabili arte roboreq. incomparabili extractus eximum operum Augusti Regis fuit non minori quidem labore quam opera ab Germano homine fabricatus XV propugnaculis seu tot(?) assibus procellarum vim excipientibus et quolibet tribus florenorum millibus vix perfecta. Ea moles non minore elegancia quam robore constans omnis est quereis pineisque lignis compacta multoq. ferro permunita ingenti Regis sumptu a Grob dnen. usq. Lithuanie sylvis devecta, sed hanc a urbis ripa auspicata, Regis morte imperfecta, Infantiq. Annac post modum perficiendum reliquerat.* (Ms. Bibl. Ord. Zam. № 958 przed datą V Aprilis).

2). *Theatri praecipuarum totius mundi urbium. Liber sextus* № 47; dedykacya wydawców Hierata i Hoghenberga jest datowana 1617 r.



WIDOK WARSZAWY Z KOŃCA XVI W. (Z DZIEŁA BRAUNA).

czy to jest most Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki, wiadomo bowiem, że ten został zniszczony—nie przez ogień od domostw podmiejskich, lecz przez wody i lody wiosenne w 1603 roku. Może tedy rysownik spoglądał na most, wystawiony później przez Zygmunta III, jak powiadano—na tem samym miejscu. Nie jest wszakże wyłączona możliwość, że odbity teraz został rysunek dawniejszy, bo na początku XVII wieku ruch wydawniczy nie był jeszcze tak pośpieszny, jak jest dzisiaj. Nie zgadza się z opisem Orzelskiego liczba izbic 22, zamiast 15 ostoi, ależ w r. 1673 most nie był ukończony, kierunek zaś jego i punkt zetknięcia z łądem dają się pogodzić z napisem: w pobliżu, jakby na początku dzisiejszej ulicy Bolesć, jest jakaś budowla piętrowa, która mogła służyć za bramę wjazdną. Ponad nią piętrzą się domy coraz wyżej ku baszcie Nowomiejskiej — odpowiadają one ulicy Mostowej.

Nie będziemy zresztą wysławiali tego rysownika; nie porównamy go z Adelhauserem. Możemy nawet gniewać się na niego, że niewyraźnie narysował 17 jakichś niezwykłych zagadkowych grup krokwi nad pomostem. Nie domyślilibyśmy się, czy stoją one wpoprzek mostu, czy wzdłuż, a przede wszystkim, jakie było ich przeznaczenie? Wytlómaczył to nam dopiero inżynier i historyk zarazem, prof. Henryk Merczyng. Spostrzeżenia

jego i wnioski podajemy podług własnoręcznego jego rękopisu:

„O ile zrozumieć można rysunek mostu warszawskiego, przypuścić należy, iż owe krokwie, wskazane na pewnej wysokości nad mostem w 17 pierwszych przesłach, licząc od brzegu warszawskiego (na 5 przesłach od Pragi ich niema), są konstrukcją, pozwalającą otwierać przesła dla przepływu statków między ostojami. Sądzimy, iż konstrukcyje te są takie same, jakie w średniowiecz często zastoso- wywano do podnoszenia mostów zwodzonych. Prawdopodobnie pokład mostu był uwieszony na blokach i łańcuchach, a krokwie ustawione wzdłuż mostu, i w razie potrzeby każde przesło mogło być otwierane, przyczem linia otworu znajdowała się pośrodku między ostojami. Przypuszczenie, iż to, co na rysunku widzimy, były to kratownice lub belki mostowe (dźwigary), nie zdaje się nam być słuszne, skoro kratownice są w użyciu dopiero w ostatnich wiekach, i następnie wobec braku ich w 5 przesłach ze strony Pragi.” Może w tem urządzeniu właśnie kryje się owa cudna sztuka (ars admirabilis), zaznaczona w napisie Anny Jagiellonki i w napisie Orzelskiego. Bądź co bądź jest ciekawy ustęp w dziejach budownictwa mostowego

Tadeusz Korzór do





U ŹRÓDEŁ WISŁY. 5)

DROGI.

Przed kilku laty zawiązało się niemieckie towarzystwo miłośników Beskidu p. n. „Beskiden Verein”. Towarzystwo to w ostatnich czasach pod wpływem prądów hakatystycznych, wiejących z sąsiedniego Śląska Pruskiego, traktuje polaków wrogo, ci też trzymają się odeń zdaleka.

Beskiden Verein stara się w miarę możliwości wytykać drogi do godniejszych zwiedzenia szczytów w Beskidach, jednakże napotyka tutaj na ważną przeszkodę ze strony zarządu dóbr arcyksięcia Fryderyka. Arcyksiążę, zrażony wszechniemieckim i antiaustryackim do pewnego stopnia charakterem towarzystwa, do którego zapisało się dużo prusaków, a także z drugiej strony nie życząc sobie, żeby na jego terenach łowieckich panował zbyt żywy i nieraz hałaśliwy ruch turystowski, zabronił przez swoje grunty wytykać ścieżki. Gdziekolwiek więc znajdujemy się na gruntach arcyksiążęcych, tam żadnych znaków na drodze nie dostreżemy.

Ścieżki jednak istnieją a nawet są bardzo porządnie utrzymane, jak np. ścieżki na Górę Baranią, prowadzące do „Wykapów” czyli do źródeł Wisły.

Powytykane kolorowymi znakami na kamieniach i na drzewach ścieżki Beskiden Vereinu istnieją tylko na gruntach chłopskich. Takich ścieżek jest sporo. Niepodobna bez mapy wymienić tych szlaków. Szkoda, że mapa w języku polskim nie ukazała się dotąd, turyści mogą jednak korzystać z bardzo taniej i dobrej mapy niemieckiej p. t. „Spezialkarte der Beskiden für Touristen”. Skala 1: 150000. Cena 1 korona. (Naład księgarni Zyg. Stuksa w Cieszynie).

Posiadając tę mapę, podróżny wynajdzie sobie drogi na odleglejszych wycieczkach, na bliższych zaś bez mapy można się obejść wygodnie.

Ścieżki B. V. na południe od Wisły (gminy) nie istnieją dla powyższej wymienionego powodu. Należy też dodać, że na mapie niemieckiej wiele nazw polskich jest poprzekręcanych albo podanych w dziwacznej pisowni niemieckiej, nie odpowiadającej brzmieniu polskiemu; w każdym razie jednak mapa ta jest użyteczna i dopóki nie będzie polskiej, trzeba się w nią zaopatrywać.

Niebawem powstanie w Wisłę stowarzyszenie polskie Miłośników Wisły, które nie omieszka zapewne wydać mapy polskiej.

ŁATWE I BLISKIE WYCIEZKI.

Na pierwszym miejscu wskażemy wycieczki wcale nie utrudzające, dostępne dla każdego, nawet dla młodszych dzieci, na które wystarczy parę godzin.

Zaczynamy od *dolin*.

O kwadrans za ledwie od hotelu, naprzeciwko „Koleby” otwiera się malownicza dolina „Dziechcińska”, przetrzęnięta potokiem zwanym Dziechcin.

Ciągnie się ona 4 km. prawie w kierunku południowo-zachodnim, pomiędzy górami porośniętymi lasem i kończy się właściwie u domku gajowego. Pełno tutaj pięknych zakątków, małych wódospadów, grup skał; idziemy wciąż dobrze utrzymaną

szosą aż do domku gajowego. Stąd biorąc się na lewo ścieżką, możnaby zejść na Wielki Stożek.

Na zwiedzenie doliny Dziechcińskiej wystarczy dwie do półtrzeciej godziny czasu. Wycieczka to bardzo łatwa i przyjemna.

Dolina Malinki. Idąc cztery kilometry w górę Wisły, docieramy do ujścia potoku Malinki, wypływającego z doliny tego samego nazwiska. Ciągnie się ona prawie sześć km. z prawego brzegu Wisły i warta jest zwiedzenia. Dobra droga prowadzi wzdłuż brzegów potoku obsadzonych wierzbą koszykarską, ale spadek jest tutaj bardzo



DZIEWCZYNKI Z „MAIKIEM”
NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE

fol. W. Umiński.



nieznaczny. Po prawej ręce mamy górę Cieńków, dochodzącą wysokości 900 m. i opadającą miejscami w malowniczych urwiskach, porośniętą lasem iglastym. Cieńków oddziela dolinę Malinki od sąsiadującej z nią na południe doliną Białki. Po lewej stronie widzimy górę Smreków, albo inaczej Smrekowiec. Dalej na wschód zamyka dolinę wysoka 1150 m. Malinowska Skala, poza nią zaś góra Malinów, nieco niższa. U stóp Malinowskiej skały rodzi się potok Malinka, wpadający



DOLINA DZIECHCIŃSKA

fol. Wł. Umiński

do Wisły. Wymienionemi na ostatnim miejscu górami bieży granica Galicyi, idąca dalej grzbietami Magóry (1129 m.) i Baraniej (1214 m.) na południe.

W dolinie Malinki pod szczytem Malinowskiej Skały leży jaskinia tego samego nazwiska.

W Beskidzie, który przeważnie składa się ze skał piaskowcowych, poprzecinanych warstwami łupków, jaskiń takich, jakie napotykamy w formacjach wapienia, np. w Ojcowie, niema. Jaskinia Malinowa jest raczej szczeliną w piaskowcu, aniżeli jaskinią we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Sięga ona podobno do głębokości 30 metrów, tworząc rozgałęziające się rozpadliny. Główne, najszerze i najdłuższe, ciągną się od zachodu ku wschodowi i są połączone wąskimi szczelinami pomiędzy sobą.

Miejscami ledwie można się precisnąć na czworakach. Najobszerniejsze miejsce mierzy metr wysokości, 6 wysokości, a około 5 na długość. Ściany piaskowca są gładkie jak mur i prostopadłe. Dno zawalone głazami, które widocznie popadały ze sklepienia. Z najszerzej galeryi rozchodzą się w rozmaitych kierunkach wąskie szczeliny, miejscami nieco rozszerzające się.

Jaskinia ta dla przeciętnego turysty jest mniej ciekawa. Związane z nią są natomiast pewne podania ludowe, krążące między ludem dotychczas.

Jaskinię znano podobno od bardzo dawna. Ma ona niby dwie mile długości i ciągnie się aż do

Żywca. Dawniejszemi czasy znano inne wejście, położone znacznie wyżej, aniżeli teraźniejsze nad potokiem Malinką. Oba te wejścia zaginęły.

Tutaj według tradycyi mieli się ukrywać husyci podczas wojen religijnych w Czechach, na Morawach i na Śląsku, potem w szesnastym i siedemnastym wieku ukrywali się w niej ewangelicy, prześladowani przez swoich książąt, przywracających katolicyzm.

Przed dziewięćdziesięciu laty jeszcze gnieździła się w jaskini banda rozbójników pod heroldem Ondraszkiem.

Wejście dzisiejsze jest znane dopiero od kilkunastu lat. Odkryto je przypadkowo przy spuszczeniu drzewa. Jodła podcięta toporem przewracając się wyrwała kawał ziemi i odkryła otwór. Pierwszym, kto zeszedł do jamy, był stary góral Bujak, który potem służył za przewodnika do jaskini.

Jeszcze później, ale nie wiemy ściśle kiedy, pokazał się inny otwór, także dzięki przypadkowi. Krowa gajowego pasąc się na łące. wpadła w jakiś otwór, skąd z trudem ją wyciągnięto. Wejście to jednak jest do dziś dnia niedostępne.

Od wejścia do jaskini niedaleko już na szczyt góry Malinowska skała, skąd się rozpościera rozległy widok na okoliczne wyniosłości.

CDN

W. Umiński.





Japonia i japończycy. (4)

Kilka wrażeń i rozmyślań z podróży na Daleki Wschód.

W tej to ruchliwej, a czystej atmosferze widoki odległe stają się wyraźne i bliskie, a ponieważ prawa optyki i w najczystszej atmosferze nie zawodzą, i wielkość przedmiotów pomniejsza się z kwadratami odległości, więc horyzont japoński pełen jest krajobrazowych elementów, zarysowanych wyraźnie a drobnymi, naturalnych pierwowzorów japońskiej sztuki... miniatury!

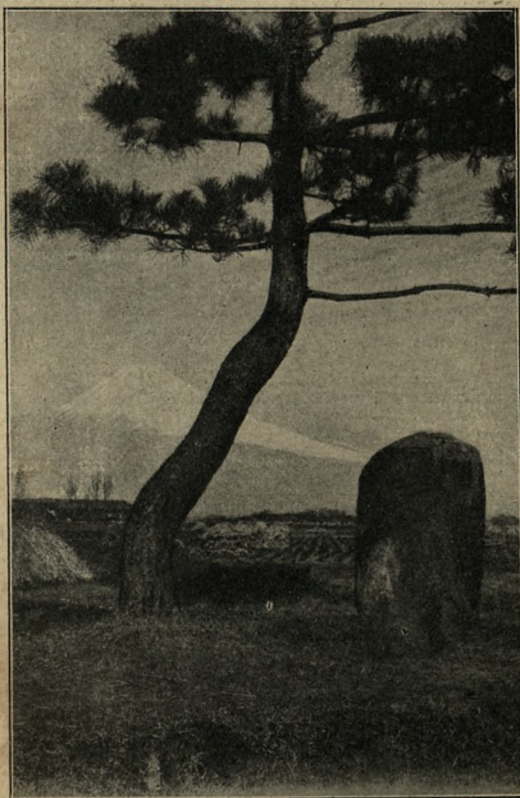
Przyroda ziemi japońskiej stworzyła w duszy tego narodu poczucie piękna, nadała temu poczuciu indywidualny kierunek i drogi rozwoju. Wzniosła w swem pięknie przyroda jest wszakże groźną i srogą potęgą, która nie tylko sercem i duchem japończyka włada, ale wkacza wszechmocnie we wszystkie strony jego życia. Jakże bowiem już niegościnna jest ziemia japońska, a czyż inaczej być może, gdy wszędzie jest piękna? Pięć szóstych części powierzchni Japonii zajmują skały, pustkowia i zgorzeliska wulkaniczne, jedna szóstą część jest zaledwie przydatna do uprawy roli, a i to tylko dzięki szkole, którą przeszedł naród na swej ziemi: brak ziemi powiększył jej wartość i nauczył japończyków szukać jej pomiędzy najdziksze i niedostępne skały. Przypatrzmy się temu stosunkowi narodu do ziemi w cyfrach. Stosunek ten jest u wszystkich narodów cywilizowanych Europy ilością stałą, niezmienną: we Francji, Niemczech czy w Polsce 50 cent, okrągło więc połowa ziemi oddana pod plug i motykę; w Japonii jest tej uprawnej ziemi, jak wspominałem powyżej, trzykrotnie mniej, przeto oczywiste, że Japonia nie należy do krajów zaludnionych gęsto, nieco gęściej niż Francja lub Włochy; ale w stosunku do zie-

mi, którą przyroda tu i tam pozwala uprawiać, należy Japonia do najgęściej na świecie zaludnionych krajów; jest krajem, z którym żaden europejski w jakiegokolwiek porównaniu iść nie może... wystarczy porównać Niemcy, najgęściej zaludniony kraj o wysokiej w rozumieniu europejskim kulturze rolniej, z Japonią. W Niemczech na kilometr kwadratowy ziemi uprawionej przypada 230 mieszkańców, w Japonii... 800! W zgodnej parze z tą miarą kultury idzie inna... z jednego hektaru obsianego zbożem zbiera butny i dumny za swej twórczości niemiec 16 cetnarów metrycznych plonów, japończyk 30!

Nie będę dalej nużył cyframi; ostateczny ich wynik jest taki, że silnie zmaterializowane społeczeństwo europejskie może się poczuwać do nieskończonej nad mizernym japończykiem wyższości; wszak produkuje ono mimo swej mniejszej zapobiegliwości, mimo ideału ośmiodzinnej pracy japończykowi nieznanemu, mimo niższego stopnia walki i skuteczności walki

z przyrodą znacznie więcej zboża, mleka, mięsa a przede wszystkim alkoholu, aniżeli japończyk. Europejczyk jest pan, ale jemu i to nie wystarczy:—cały świat stał się spichrzem zboża i zbytku europejskiego. Japończyk, który zbiera mało, wszelkich używa wysiłków, by mu to starczyło, a jego wysiłki są zwykle i we wszystkich kierunkach skuteczne.

Wstrzemięźliwość, skromność i tym podobne cnoty japońskie, dzięki wiekowej walce japończyka stacanej nie tylko z przyrodą ziemi, ale i ze swą własną duszą, przestały być wogóle cnotą, bo stały się jego naturą. Można je oceniać z rozma-



FUDZI.



tego stanowiska, można nawet ubolewać, że istnieje na świecie wielki i kulturalny naród postawiony w takich warunkach geograficznych, iż musi pędzić żywot, który Europejczyk nazwałby ciągłym stanem „półgłodu”; to pewne, że Japończyk, zdobywszy ten hart życia z przywiązania do ziemi ojczystej, ograniczył troski życia codziennego do najmniejszej miary i może całą swą energię skierować ku budowie większej, lepszej przyszłości swojej ojczyzny. W tej gonitwie do sławy i wielkości, w której dziś biorą udział wszystkie narody, wyprzedza Japończyk innych hartem duszy i ciała, rozporządza w każdym razie środkiem walki, gdzie indziej nieznanym.

Wprawdzie nie wątpię ani na chwilę, że głównym momentem przyrodzonym, pod wpływem którego wykształciła się indywidualność społeczeństwa japońskiego, jest budowa powierzchni i krajobraz ziemi japońskiej... tam tryska naturalne źródło uczuć serca, a hartu ciała i ducha japońskiego narodu. Prócz owych impulsów, wśród których żyje Japończyk, które ciągle i ze wszystkich stron nań działają i, jak kropla wodę, charakter narodu rzeźbią, drzeźnią w przyrodzie kraju „wschodu słońca” żywioły, które zbudzone, a rozpetane, szaleją nad ziemią i człowiekiem, czyniąc wszystko swej pustoszącej orgii igraszką. Wszak Japonia to ziemia najczęściej najeżona dymiącymi się górami, pustoszona co dwa do trzech lat w tej to owej stronie kraju trzęsieniami ziemi, pozostawiającymi w smutnej pamięci każdej generacji bodaj jedną wielką katastrofę, nawiedzana poświstem „tajfunów”, nastraszniejszych z wichrów, które po globie ziemskim hulają, a w ich towarzystwie i następstwie naremniami i powodziami potopowemi, a te ze wszystkiego zła, które miota tajfun, są złem największym, nietylko dlatego, że najczęstszym; w istocie rzek i dolin japońskich tkwi, że powódź w tym kraju zjawia się z chyżością niespodzianki, w istocie klimatu tej ziemi, że ogarnia olbrzymie przestrzenie, staje się niemal nieszczęściem powszechnem.

Kilka tygodni przed moim przybyciem do Japonii nawiedziła jedna z pamiętnych klęsk powodzi ten kraj i naród hardy. Tysiące kwadratowych kilometrów kraju zostało zalanych, zbiorów zamulonych i uniesionych przez fale, setki tysięcy domów podmytych i zawalonych, dróg, kolei i mostów uszkodzonych, na każdym kroku spotykałem żywe jeszcze ślady nieszczęścia, które kraj dotknęło, ale nigdzie nie widziałem ruiny! Czy na linii kolejowej czy na najbardziej zakątnej ścieżynie zawalone mosty były już zastąpione prowizorycznymi, przeszkody usunięte, życie szło już trybem normalnym. Japończyk jest w nieszczęściu bohaterem, gdy minie niebezpieczeństwo mężnym pracownikiem.

W połowie sierpnia 1910 r. podczas katastrofowej powodzi, która nawiedziła całą Japonię, w samej stolicy 15 km. kw. zabudowanej i gęsto zaludnionej przestrzeni zostało zalanych rozszalałym żywiołem, setki tysięcy ludzi było bez dachu i chleba. Dokładnie w osiem miesięcy po owym nieszczęściu te same dzielnice, które nawiedziła woda, więc przedewszystkiem Asakusa ze słynną świątynią bogini litości, Kwannon, z obrazem otłartowym, datującym się z początku wieku siódmego, jakoteż Josziwara, dzielnica więzień o złotych kratkach dla istot upadłych, zwanych u nas niesłusznie gejszami, stały się pastwą płomieni. Depesze donoszące o nieszczęściu dodawały wymownie: „zginęło wielu żołnierzy i strażaków podczas bohaterskiego ratunku kobiet”. Dwa tygodnie przed katastrofą tokijską spłonęła wielka fabryka celulozowa i bluzek jedwabnych w Nowym Yorku, 150 żywołów ludzkich padło ofiarą rozszalałego żywiołu, „w tem 90 procent dziewcząt” dodają wymownie depesze. Po żywiołowej klęsce w Japonii sypie się dobrze skierowany deszcz zielonych i czerwonych wstęg, odznak szczególnej miłości synowskiej lub bohaterskiego poświęcenia podczas ratunku zagrożonego życia ludzkiego;—w Ameryce, nieodrodnej dziedzicze kultury europejskiej, „władze wytaczają surowe śledztwo, aby ustalić, kto ponosi winę katastrofy”, kto może, ratując swe życie, wyrzucił słabsze istoty przez okno z dziesiątego piętra.

Oto jest zespół—przyroda i naród! Cóż dziwnego, że w takim zespole naród, dla którego ciągła walka ze stugłową hydrą stała się naturą, ma oczywiście silny pęd ku ekspansji, a tej ekspansji jednak nie przejawia wychodźstwem! Z pośród narodów europejskich tylko najszcześniejsze, a dla emigracji kontynentalnie, więc niekorzystnie położone dostarczają nam corocznie jednego emigranta na 2000 ludności; inne stosownie do warunków wywożą na narodową zagładę 2 do 5 na 100 mieszkańców; najkorzystniej położone dla emigracji narody, więc morskie, lub najnieszczęśliwsze ślą dorocznie w świat 10 do 20 emigrantów na 1000. Japończyk, w europejskim pojęciu nędzarz popisowy, a człek morski w najściślejszym tego słowa znaczeniu, dostarcza rocznie około 2 emigrantów na 3000 mieszkańców. A podczas gdy emigrant potężnego narodu niemieckiego śpiewał jeszcze przed 20 laty: „Denn unsere Sprache sie ist das Geld, unsere Heimat ist da, wo wir essen! Wir sind die Juden der neuen Welt, im Vaterlande vergessen!” (Deutsche Colonial-Zeitung. 1889) Japończyk opuszcza kraj albo w celach i kierunkach z góry wskazanym przez dobrze uplanowaną pansję polityczną, albo gdy traci rację bytu w społeczeństwie, w którym panuje niesłychanie obojętne i czuła opinia publiczna... oto przyczyna sil-



ŚWIĄTYNIA PRZY GROBOWCACH SZOGUNÓW W TOKIO
(NA FRONCIE LATARNIE OFIARNE „ISZI-DORO“)

udziału kobiet w emigracji japońskiej... najrzadziej zapewne z przyczyny dotkliwej nędzy. Ta jednak czy owa przyczyna zmusi mieszkańca Dai-Nihonu (Wielkiej Japonii) do emigracji, żadna nie rodzi renegatów. Japończyk nie ekspatruje się nigdy, nie asymiluje się nigdzie, choćby opuszczał swą ziemię jako taki, którego w Europie zwykli nazywać wyrzutkiem społecznym. Ci ostatni, europejskiego pochodzenia, starają się jak najprędzej zatrzeć ślady wiążące ich ze swą ojczyzną, nawet wspomnienia wydzierają ze swej pamięci; japoński wyrutek czy wyrzucona nie przestają być nigdy sobą—japończykiem! To objaw jeden, a drugi to ta niepospolita koncentracja emigracji japońskiej, która wskazuje jedność ducha, wiążącego naród cały, nawet wszystkie jego okruchy i odpadle atomy nicią sympaty dla wspólnych ideałów. Poza ojczyznę żyje teraz około 250.000 japończyków, wszyscy starannie przez statystykę państwową rejestrowani; proszę mi pokazać w Europie naród, któryby okazał tyle i tak trwałej o swe okruchy żywotne troskliwości; a z owej liczby tylko znikoma część jest rozproszona, olbrzymia przewaga obsadziła koloniami, których wielkość zdaje się odpowiadać znaczeniu pojedynczych placówek, wszystkie doniosłe miejsca handlowe i strategiczne naokoło Oceanu Wielkiego. Najcharakterystyczniejszy jest najazd japoński na centralnie wśród oceanu położone amerykańskie wys. Hawaie, gdzie pośród 200.000 mieszkańców żyje 70.000 japończyków.

A japońskie wychodźstwo niesie ze sobą w sercu nietylko swoją ojczyznę, nietylko pielęgnuje swoje idee

je, ale umie też budzić dla nich wśród obcych cześć i zapal. Gdy w krwawej walce z kolosem rozstrzygały się losy Japonii na wodach morza, na stepach Mandżuryi i puszczach Korei, grzmot dział i wstrząsy morskich eksplozji wywoływały sympatyczne drgnienia u ludów całej Azji. Buddyjskie ołtarze powiewały wtedy od Oceanu do wnętrza Tybetu dziwnymi papierkami za pomysłność oręża japońskiego, a wieści o czynach nad Jalu czy pod Mukdenem święcone były ogniskami radości, zapaleniami na szczytach gór nawet w zapadłych kątach Kaszmiru!

Kto zrozumie tę atrakcję geniusza japońskiego, kto wytłómaczy tę niesłychaną działalność afektów na odległość?

Czyż to nie analogia ze wstrząsem umysłów całej Europy pod wpływem rewolucji francuskiej, czyż wszystkie narody, walczące o wolność nie widziały i nie czuły we Francji od tej pory swej drugiej ojczyzny? Tę rolę w Azji objęła Japonia!

A to stanowisko Japonii w roli oswoobodziciela ducha, twórcy nowej idei azyatyckiej, oto zjawisko, które zaprawdę może budzić zdumienie! Daleki jestem wprawdzie od tego, by za przykładem srogo zawiedzionych kupców czy aferzystów, którzy zapominając, gdzie pieprz rośnie, chcieli tam robić tak zwane kolonialne interesy, lub za przykładem skompromitowanych dyplomatów, dymisjonowanych instruktorów wojskowych czy przemysłowych, budować swoją opinię na nienawiści i zaślepieniu, bym za ich przykładem, co prawda i doświadczeniem, przyznając japończykom wysoki talent niewolniczego czyli jak słyszałem „małpiego” naśladownictwa, odmawiał im wszelkiej twórczości. Pod tym względem dziele zupełnie inny sąd, który z entuzjazmem głosili ludzie bezinteresowni, a tej miary, jak R. Kipling, B. H. Chamberlain, A. Little, H. Dyer i wielu innych znakomitych znawców Japonii. POCO jednak autorytety! Tak niesłychanie indywidualna fizjonomia kultury japońskiej w porównaniu do chińskiej, wchłonięcie gruntowne ogromnego zasobu dzieł kultury europejskiej z chyżością w historii kultury bezprzykładną, a to bez najmniejszego uszczerbku dla japońskiego ducha, oto najwymowniejsze, naoczne dowody twórczości tego narodu.

(CDN)

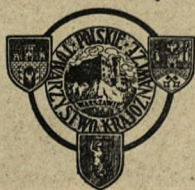
Dr. Eugeniusz Romer.





Ze skarbów naszej przyrody. 18)

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Dn. 24 z. m. odbyło się ostatnie przedwakacyjne posiedzenie Zarządu P. Tow. Kr., na którym rozważono i załatwiono szereg spraw związanych z delegacjami na studia krajoznawcze.

Komisyja Wycieczkowa zapowiada szereg wycieczek wakacyjnych z Warszawy, a mianowicie:

d. 9 Lipca do Brzezin pod kierunkiem p. Al. Janowskiego.

d. 23 Lipca do Starego Otwocka pod kierunkiem p. Hildebrandta.

d. 6 Sierpnia do Żelazowej Woli pod kierunkiem p. Koszutskiego.

d. 20 Sierpnia do jezior Chodeckich pod kierunkiem p. Al. Janowskiego.

Rozważono propozycję prof. Heinricha, nadesłaną do Towarzystwa—o wzięcie udziału w londyńskim kongresie ras,—z powodu jednakże rozpoczętych już fery wakacyjnych z propozycji nie skorzystano.

Wycieczce, zorganizowanej przez prof. Wisznickiego dla młodzieży, przyznano zapomogę wysokości 50 rs.

Nowych członków przyjęto 19.

Fery wakacyjne Zarządu trwać będą do 1 Września.

□□□□□□

ś. p. Rudolf Sobkiewicz.



13. *Goodyera repens* R. Br.
Tajeża jednostronna.

Korzeniak rozgałęziony, płożący się, opatrzone korzeniami i wydający rozetki liści, zawierające już pąki, z których w następnym roku wyrastają pędy kwiatowe. Liście dolne o blaszce owalnej lub jajowato wydłużonej, przechodzącej w rozszerzony pochwiasto ogonek. Liście górne małe, podobne do przykwiatków. Łodyga, zwłaszcza w górnej swej części — omszona. Przykwiatki długości załazni lub krótsze, owłosione. Kwiaty małe, białe, zielone, omszone, zebrane w kłos skręcony lekko w formie śruby. Listki okwiatu małe, lancetowate. Warzka mała — u spodu wklęsła.

Kwitnie przez lipiec i sierpień.

Rośnie w małych grupach — po kilka. Z miejscowości, koło Warszawy położonych, znalazłem w Otwocku i Radości; następnie potwierdziłem stanowisko Berdaua dla Kazimierza. Podają go jeszcze Jastrzębowski, Waga i Drymmer w okolicach Lublina i Kielc. ¹⁾

□□□□□□□□□□

¹⁾ W r. 1910 K. Kulwiec obserwował w okolicach nadniemeńskich, między Prenami i Balwierzyszkami. (P. red.)



Dnia 5-go Czerwca 1911 po długiej i ciężkiej chorobie zgasł w Żytomierzu ś. p. Rudolf Sobkiewicz. Pochodził on ze starej rodziny szlacheckiej gub. wołyńskiej, powiatu krzenenickiej, urodził się 1837 r. w Żytomierzu, gdzie był jednym z ostatnich uczniów Liceum Krzemienieckiego, był nauczycielem w m. Krasnopolu, obecnie nazwanem I-szym, posłem na sejm czteroletni. Później skończył gimnazjum w Żytomierzu w 1857 r. i wyjechał na Uniwersytet kijowski na wydział medycyny, gdzie w 1862/3 roku i w dalszym ciągu



du wypadków ówczesnych częściowo tylko egzaminów przyjechał do Żytomierza, oddając się nauczycielstwu i naukom przyrodniczym: astronomii, ulubionej botanice oraz archeologii.

Po śmierci ojca w 1878 r. osiadł ostatecznie w Żytomierzu, gdzie w ogrodzie sadyby swej przy ulicy Puszczyńskiej zajął się kulturą rozmaitych roślin. Z prac jego botanicznych godna zaznaczenia jest „Flora Wołynia i Polesia”, drukująca się obecnie nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, Atlas z opisami i rysunkami kolorowanymi grzybów dotychczas nie wydany, ogromne herbarium roślin Wołynia i Polesia i dziennik meteorologiczny, który zaczął prowadzić będąc jeszcze na ławie szkolnej bez przerwy od 1850 roku do końca życia;—oprócz tego pisał swoje artykuły mniejsze z dziedziny botaniki i zoologii do Pamiętnika Fyzyograficznego, wydawanego w Warszawie i referaty do Towarzystwa przyrodników w uniwersytecie Kijowskim, którego był członkiem. W Nr 1 r. z. drukowaliśmy w „Ziemi” drobny ale cenny szkic jego p. t. „Osobnik żeński topoli włoski w Żytomierzu”. Poza tem był członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, a również Towarzystwa Krajoznawczego. Cichy, nadzwyczaj skromny i pracowity, umiał pogodzić okropne warunki materialne, w których przebywał, z czystą pracą naukową. Kochał swój Wołyn (nigdy nie zapominał, że jest Polakiem). Cześć jego prawej i znacznej pamięci.

□□□□□□□□□□

Ze Stowarzyszeń.

W 10 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym prezydent dr. J. Chlebowski odczytał referat: „Jak po t. n. sady Kowieńskie”, udowadniający bezpodstawność dotychczasowego mniemania o istnieniu czterech części pomatu z których dwie uległy zniszczeniu, a dwie pozostały, wybrane przez poetę, weszły w skład pierwszego wydania zbioru poezji. W istocie napisane były tylko w części:—pierwsza w r. 1820, jako zamknięta całość, balladowego charakteru obraz obrzędu „Djad w”, druga w r. 1822, utworzona z wypowiedzeń się ożpaczyjąc, po ślubie Maryli poetę, powiązana przez dodanie w rodzaju prologu „Upiornego” i czwarta) miało usprawiedliwiać i ogłaszanego w tej postaci utworu, i w tym celu, jakkolwiek z większej części.

□□□□□□□□□□

Akademicki klub turystyczny we Lwowie.

Wcale pokaźna ta broszura, obejmująca 102 stronice druku, ilustrowana kilku udatnymi reprodukcjami zdjęć fotograficznych, robi już zewnętrznym swym wyglądem dodatnie wrażenie.

Prócz właściwego sprawozdania i kroniki turystycznej za rok ubiegły zawiera książka dwie ciepło napisane sylwetki zmarłych członków klubu: Szulakiewicza i Horowitza, wrażenia z odbytych wycieczek a mianowicie: J. Jaroszyńskiego: „Z wycieczki na Mont Blanc” i Dra A. Jakubskiego „Wyjście na Kilimandżaro”,—wreszcie dobry szkic informacyjno-turystyczny Dra M. Orłowicza „Karpaty Marmaroskie”. Z uznaniem podnieść należy zapowiedź podobnego opracowania innych mniej znanych części Karpat wschodnich, jak Gorganów, Alp rodniańskich i t. d.

Wracając do właściwego sprawozdania mniemam, że dla wyrobienia sobie sądu o rozwoju Klubu wystarczy rzut oka na umieszczoną poniżej tabelkę:

Rok	Ilość członków	Dochód w koronach	Rozchód	Ilość odbytych wycieczek
1906	43	161	161	14
1907	158	812	770	43
1908	270	1414	1352	54
1909	294	2299	2047	63
1910	374	2600	2182	102

Ze sprawozdania dowiadujemy się dalej, że w roku ubiegłym zmniejszyła się liczba wycieczek zagranicznych, oraz wycieczek przedsięwziętych ze Lwowa do Beskidu wschodniego. Tych ostatnich z powodu zniesienia przez ministerium kolejowe zniżonych biletów turystycznych do stacyi na szlakach Jaremcze—Woronienka i Skole—Lawoczne.

Wzrasta natomiast bardzo znacznie liczba wycieczek tatrzańskich, których odbyto około 60 z wakacyjnej siedziby Klubu — Zakopanego.

Wielką zasługą Klubu jest rozbudzenie i spopularyzowanie turystyki już nie tylko wśród młodzieży, ale wogóle wśród szerokich warstw publiczności. Wszak pamiętamy wszyscy, że w chwili powstania Klubu uprawiało ją tylko nieliczne grono osób. Dziś nie tylko A. K. T., ale i inne towarzystwa i kluby uprawiają turystykę, a bardzo liczne wycieczki bywają też przedsięwzięte samodzielnie.

Nie ustając w dalszej pracy, i na bieżący sezon ogłasza klub cały szereg wycieczek, z których jako ciekawsze podnosimy: wycieczka w pasmo Czarnohory i Karpaty Marmaroskie, na Stoh, na Bukowinę i w Alpy [rodniańskie. Z zagranicznych zaś: do Niemiec i Szwajcaryi (Mont Blanc), do Włoch, Norwegii i ciekawa pierwsza wędrówka po Czechach i Morawach.

W dniu 15 maja odbyło się doroczne walne zgromadzenie Klubu, na którym w miejsce ustępującego po pięcioletniej nader owocnej pracy prezesa Dra M. Orłowicza, wybrano p. Józefa Szenka.

Nie wątpimy, że ustępujący prezes będzie się towarzystwem, które ma mu tyle do zawdzięczenia, i nadal życzliwie opiekował.

W. F.

□□□□□□□□□□



Z piśmiennictwa.

Żywo i sumiennie prowadzony „Przewodnik Antykwarski”, którego powstanie notowaliśmy niedawno, kończy już niestety swój żywot. W № 12 redakcja, uskarżając się na nikłe zainteresowanie się, jakie pisano wśród warstw kolekcjonerów polskich budziło, oznajmia, że wydawnictwo zostaje przerwane. Mnie- mać należy, że dzieje się tem krzywda nie tylko „warstwom kolekcjonerów”, ale wszelkim wogóle pra- cownikom na polu naukowym, poszukującym ści- słych i kompetentnych informacji o dziełach rzad- kich a niezbędnych w ich studiach. Sądzimy, że w tej czy innej formie, z poparciem jednego lub kilku towarzystw czy instytucji bardziej zainteresowanych, wydawnictwo winno być utrzymane. T—t.

□□□□□□□□

Nowe książki.

Aleksy Kurcysz. *Brazylia*. Wydanie Biblioteki Dzieł Wyborowych. Dwa tomy.

Książka niniejsza jest owocem dziwnego nieporo- zumienia. Autor z wyjątkową prawdziwie pewnością siebie usiłuje w przedmowie zbagatelizować całą naszą dotychczasową „literaturę brazylijską”, twierdząc mię- dzy innymi, że „do śmiertelnych jej grzechów należy apriorystyczna tendencyjność, bezkrytyczny obskuran- tyzm, zdobywający się w najlepszym razie na nau- kową plotkę, poruszanie dziesięciordernych pytań, a unikanie pierwszorzędnych, dawanie bzdurnych od- powiedzi na jeszcze bzdurniejsze pytania”. Przypom- nieć w tem miejscu należy, iż oprócz bardzo interesu- jących i sumiennych sprawozdań z objazdu kolonii polskich w Paranie pióra pp. S. Kłobukowskiego, J. Siemiradzkiego i L. Włodka, literatura nasza posia- da już bardzo dobre popularne przewodniki dla osób, zamierzających emigrować do tego kraju, opracowane przez tegoż p. L. Włodka oraz przez p. Kaz. Warcha- łowskiego. Twierdzenie zatem, jakoby pieniądze, wy- dane na stworzenie literatury powyższej, były bez- względnie zmarnowane, nie tylko nie jest na niczem oparte, ale świadczyć zdaje się o nieobeznaniu p. K. z wydawnictwami polskimi, dotyczącymi danego przed- miotu.

W dalszym ciągu tej charakterystycznej przedmo-

wy czytamy, że „opracowanie niniejsze, jako źródło in- formacji nie wystarczy na wszystkie położenia(!), w ja- kich wychodźca polski w Brazylii znaleźć się może, da mu ono jednak obraz kraju, który wystarczy na pierwsze główne potrzeby i ułatwi oryentowanie się w wypadkach, nieprzewidzianych w niniejszem opracowaniu”. Widzimy stąd, iż autor na seryo uwa- ża, że książka jego przydać się może na coś przecie- tnemu polskiemu wychodźcy do Brazylii.

Złudzenia te rozwiać musimy w sposób jak naj- bardziej stanowczy. P. Kurcysz zdaje się nie wie- dzieć nic o tem, że wychodźstwo polskie do Brazylii ze względu głównie na warunki klimatyczne nie roz- prasza się bynajmniej po wszystkich stanach tego ol- brzymiego państwa, ale skierowuje się wyłącznie do Parany i w drobnej tylko części do położonych bar- dziej jeszcze na południe stanów Św. Katarzyny i Rio Grande do Sul. Stan zaś Parana wraz ze stanami, sąsiadującymi z nim od południa, położony jest w stre- fie umiarkowanej i przytem na znacznym płaskowyzu, dzięki czemu posiada całkiem odmienny klimat, faunę, florę i t. p., aniżeli pozostała olbrzymia większość sta- nów brazylijskich.

Wobec tego opowiadania domniemanemu „koloniście polskiemu” o korzyściach hodowli kauczuku i trzciny cukrowej, o aligatorach z nad Amazonki i o trud- nościach zwalczania roślinności podzwrotnikowej w sta- nie Bahia—nie tylko nic mu w głowie nie rozjaśnia- ją, ale są w stanie zbalamucić go do reszty.

Poza tem książka p. Kurcysza jest niezłą i pierw- szą bodaj w literaturze naszej próbą ogólnego i mono- grafii Brazylii, informującą na podstawie wszystkich dzieł w językach obcych o obecnym stanie Brazylii, jej ludności, faunie, florze i t. d. Jako taka czytać ją może nawet z pożytkiem. W żadnym jednak razie, wbrew wypowiedzianym przez autora w przedmowie mniemaniom, niepodobna uznać jej za pożądany po- radnik czy przewodnik w rękach naszego wychodźcy, skierowującego się do tego rozległego kraju.

E. M.

SPROSTOWANIE.

W liście do redakcyi (I), umieszczon- m w zeszyt- numerze, a tyczącym się ś. p. prof. Mar- Sokolowski go, opuszczone zostało przez nieuwagę ze- autora, którym jest p. K. Frycz z Zapu- st

Od Administracyi.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić przed- na II półroczu.

TREŚĆ: Dr. Ludomir Sawicki.—Badania jeziorne na Kujawach (z 5 ryc.); Stanisław Lenczewicz.—Małopolską. Dziennik wycieczki; Tadeusz Korzon.—Most przy ul. Mostowej w Warszawie (z 2 ryc.); Umiński.—U źródeł Wisły (z 2 ryc.); Dr. Eugeniusz Romer.—Japonia i japończycy (z 2 ryc.); naszej przyrody.—Z polskiego Tow. Krajoznawczego. — ś. p. Robert Sobkiewicz.—Ze stow. mys- micki klub turystyczny we Lwowie.—Z piśmiennictwa.—Nowe książki. Poza tekstem 30. mncze

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki. Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składowal i tam Odbijał na maszynie Aleksander Grzegołowski.—Kilse wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier ki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazim